



Maria Rodziewiczówna

DEWAJTIS

BUKOWY LAS

I



Słońce zachodziło za gaj dębowy, wtulony w widły Dubissy i Ejni, w starym cichym kraju świętych dębów, węży i bursztynu.

Za chmurę siwą się kryło, ostatnią wiązką złotych blasków żegnając stary żmujdzki zaścianek szlachecki, do brzegu potoku przyparty i otulony seciną lip niebotycznych, wiśni i jarzębiny.

Był to sobotni wieczór, rozkoszny dla pracowitego ludu i dobytku.

Z pól ściągały na nocleg starodawne sochy, robocze woły, wozy drabiniaste i niewielkie żwawe koniki; schodzili się smukli młodzieńcy z kosami na ramieniu, smągłe złotowłose dziewczęta ze śpiewką na ustach, dziatwa zapędzająca pod strzechy stada bydła i owiec.

Aż wreszcie uciszył się zaścianek, skupiło życie po izbach i podwórzach, gdzieniegdzie ozwały się tony skrzypiec i fujarki, śmiechy młodzieży, gwar nawoływania, a bociany wstawały na gniazdach i jak kaznodzieje prawily coś do tej rzeszy ludzkiej...

Najciszej było w zagrodzie starego Piotra Wojnata, znacznej wśród innych dobrobytem i zamożnością. Czworo osób obsiadło stół, na którym dymiła wieczerza w wielkich polewanych misach, woń cebuli i świeżego chleba roztaczając na całą izbę. Gospodarz siedział w rogu, między dwoma oknami, w siwej kapocie, suchy, zgięty w kabłąk starzec. Wodził powoli łyżką do ust i powoli gderliwym tonem wiódł rozmowę z sąsiadem na prawo.

Był to średniego wzrostu młodzian, ciemnowłosy, mizerny, ubrany, jak Wojnat, w strój zaścianka, na pół chłopski, na pół szlachecki. Opowiadał coś w przerwach jedzenia smętnym, cichym głosem, wyglądał zalękły, zgnębiony, oczy tylko podnosił co chwila i spoglądał nie wiadomo: w okno czy na siedzących naprzeciw.

Tamci nie odzywali się wcale. Dziewczyna, złotowłosa, rumiana, zwracała profil do światła i przechylając się za otwarte okno, obrywała swawolnie purpurowe owoce z wiśni rosnącej pod samą ścianą. Na kolanach trzymała kapelusz męski i za tasiemkę nawlekała wianeczek z wiśni, uśmiechając się do swej psoty.

Siedzący obok niej młody człowiek przypatrywał się jej rękom opalonym, ale zgrabnym, czasem głowę jej i ładne rysy objął wzrokiem i milczał. Olbrzymiego był wzrostu i ubrany z pańska w cienkie ciemne sukno; w mroku siedział, zgarbiony, a długie, spadające na czoło włosy zakrywały mu połowę twarzy.

Niekiedy dziewczyna, znudzona tą milczącą obserwacją, rzucała mu owoc dojrzały. Wtedy spod jasnej grzywy strzelało coś niby iskra w jej błękitne oczy i znowu gasło. Wiśnie brał w opalone dłonie i nie jadł, jakby żałował!

Jedzenie znikало ze stołu. Nareszcie stara sługa sprzątnęła resztki, mężczyźni dobyli fajki i gospodarz raz pierwszy zwrócił się do milczącego biesiadnika:

– A nie masz tam czasem zagranicznego tytoniu, gościńca dla wuja?

– Za granicą gorszy pałą! – odparł zagadnięty, mimo to dobywając z kieszeni wzorzysty skórzany woreczek.

Stary kościste palce zanurzył weń i napychając fajkę, mrucał:

– Familijne skąpstwo Czertwanów. Woli ząb wyrwać, jak grosz wydać! At!

Dziewczyna odęła usta żałośnie.

– Dziadek myśli, że on o mnie pamiętał? Uchowaj Boże!

Winowajca milczał, za to smutny młodzieniec ujął się za nim.

– Nie własny towar sprzedawał. Byki z poświckich gorzelnii, to i nie miał za co kupować prezentów, ledwie starczyło na przekarmienie tego, co pan Czertwan wyznaczył.

– Dobry i stary, i młody. Dobrali się w korcu maku! Stary zwariował na wielki rozum, a on taki całkiem głupi. Orzą nim jak wołem.

– Rychło przestaną, jak się ożeni i do naszych Sandwilów, do was przyjdzie – mówił dalej obrońca, uśmiechając się smutno jak na stypie.

Dziewczyna pokraśniała jak wiśnie u kapelusza, a stary łysinę pogładził i trochę udobruchany spojrzął na mruka.

– Aha! Cóż? Ratuję ją go, ratuję, ile mocy. Siostrzany syn, sierota, chciałem za dziecko wziąć kiedyś, ojciec nie dał. Ha! Co robić? Nie dał, to on i sam do mnie przyszedł.

Dziewczyna zrobiła grymas mówiący jasno: „Prawda! Zobaczyłbyś go beze mnie!”, ale stary nie zważał.

– Oho, oho! Rada jest na wszystko, byle się nie śpieszyć! „Pośpiech to złodziej”, mówili ojcowie. Na jesień niech Czertwan szuka sobie innego ekonoma do Skomontów albo sam się weźmie, bo Marek na swoje pójdzie. Już mu czas. Ile masz lat?

– Dwadzieścia osiem minęło na wiosnę!

– Strach! Co to się dzieje teraz? Ja w tym wieku czworo dzieci już miałem, tylko że mi umierały jak na komendę, aż żadnego nie zostało! No, ma się rozumieć, miałem olej w głowie, nie bałem się macochy ani słuchałem każdego! Toteż i wyszedłem na człowieka.

– I Marek wyjdzie, dziadusi! – upomniała się dziewczyna.
– On taki duży!

– Głupiaś! – mruknął stary, groźnie brwi marszcząc.

Zaśmiała się swawolnie.

– A dziaduś co dzień sąsiadom prawi: „Niech no mi na jesieni Marek osiadzie na gospodarce, to zobaczycie, co potrafi młoda głowa i ręce”. Pan Grał świadkiem.

Spojrzała przekornie na młodego chłopca, a on pod tym spojrzeniem wzrok spuścił i westchnął nieznacznie.

– Głupiaś! – powtórzył Wojnat, wstając z miejsca. Ruszyli się wszyscy. Ona pierwsza wybiegła z izby i po chwili z ogródka doleciał jej cienki głosik słowami piosenki:

*Za lasami,
Za polami*

*Stoi domek przy ruczaju,
Tam dziewczyna,
Jak malina,
Mieszka by aniołek w raju.*

Marek podniósł się z ławy opieszale.

– Pójdę już – rzekł.

– Czy ci do macochy tęskno? – zamruczał Wojnat.

– Zmitrężyliśmy trzy dni. Ojciec pewnie niespokojny.

– Ani trochę. Słyszę, już na wakacje przyjechał Witold,
a i dziewczyna pewnie wróciła z Rygi.

– Już byli, jak odjeżdżałem!

– Otóż to. Dosyć ich tam bez ciebie. A jutro niedziela. Odpocznij ze swoimi.

– Dziękuję, wuju!

W chwili gdy siadali na powrót u okna, skrzypnęły wrota od ulicy i na podwórzu rozległ się obcy głos:

– *Tepul buas pagarbientas Jezus Chrystus.*

– *At amžiu amžius!* – odparła dziewczyna z ogródka i spytała natychmiast: – Czy pan Marka szuka, panie Ragis, tutaj?

– A gdzież by on był! – rzekł nowo przybyły.

Marek porwał się z ławy i wyszedł na podwórze. Gość szukał go oczyma około dziewczyny, która oparłszy się o płot ogródka, rozmawiała, plotąc wianek z pęku malw i stokroci. Był to człowiek maleńki, szczupły, kaleka, z kulą u nogi, ubrany w surducinę siną, krojem żołnierskim, i takąż wypłowiałą czapkę. Twarz miał okrągłą, rumianą, szwów i blizn pełną, sterczały z niej jak szydła siwe wąsiki i świeciły figlarne, zmrużone szare oczka.

– Dobry wieczór, Rymko Ragis! – pozdrowił go Marek od progu.

– Wróciliście przecie! Ho, ho! Myśleli, żeś drapnęła w świat jak Kazio!

– Mieliśmy kwarantannę. Na granicy padł byk Grala!

– Aha! Szkoda chłopca! Dawno wróciliście?

– Będzie dwie godziny.

– Dobrze trafiłem! Chodźmy!

Zawrócił i pokukał za wrota, kiwnąwszy głową dziewczynie. Gdy się obejrzał na drodze, młodzi szli za nim powoli; gdy

minął rozdroże naznaczone kapliczką i krzyżem, ona została pod Bożą Męką, strojąc ją w kwiaty, a on kroku przyspieszył i wnet się zrównał z kaleką.

Główną drogę zostawili na prawo, ścieżką przez łąki nad-rzeczne szli w kierunku dąbrowy i milczeli długą chwilę, jakby się wczoraj rozstali.

A jednak mijało trzy tygodnie, jak Marek Czertwan poszedł do Prus z partią opasów na sprzedaż i wracał zaledwie.

Żmujdzin nie lubi zaczynać rozmowy, ciekawy nie jest – on patrzy, słucha i... milczy.

Z dała dąbrowa wyciągała do nich jakby ramiona, czarnym cieniem zabiegając drogę; chodziły po niej szmery różne i szelsty tajemnicze.

Z łąki weszli w gąszcz jeżyn, jesionów karłowatych i dzikich róż; potem wielkie dęby otoczyły ich, szli po miękkim mchu i paprociach, gdy stary ozwał się wreszcie pierwszy smutnym, zgnębionym głosem:

– Ze złą wieścią spotykam ciebie, Marku!

Młody nie przeraził się, nawet oczu nie podniósł. Po minucie zaledwie namysłu spytał spokojnie głuchym swym głosem:

– Jakąż, Rymko Ragis?

– Ojciec twój umiera...

I na to nie było żadnego wybuchu. Marek Czertwan znowu pomyślał chwilę, nim rzekł słowo.

– Dawno zasłabł?

– Przed tygodniem. Z Poświcia przyjechał na święto, trzy dni mocował się z chorobą, aż go zmogła, i położył się. Nie choroba to zwykła, ale stara kula, co ją lat tyle w boku nosi. Dokołatała się serca wreszcie! Doktora nie chciał, po co leki żołnierzom? Przyszedł czas do apelu, do kolegów, co tam są – to i pójdzie!

Szorstki, prawdziwy żal brzmiał w głosie starego. Rękawem oczy przetarł, westchnął i po chwili znów mówił:

– O ciebie się pyta co chwila, a dziś przed wieczorem księdza prosił i Jazwigę sprowadzili z Kowna. Widzi mi się, że wolę swą chce zostawić wam ustnie i śpieszno mu. Czekaają ciebie, aż mnie coś tknęło do Wojnatów się dowiedzieć. Bieda bieda, a tym, co zostają, żyć trzeba i myśleć o sobie. Straszno,

by ciebie macocha z dziećmi nie krzywdziła. Boją się one ciebie i nie lubią. Pamiętajże, powiedz swoje choć raz w życiu, gdy cię ojciec zapyta!

Zamilkł, spojrzął na towarzysza, ale twarz Marka była niezbadaną zagadką. Wątpliwe, czy słyszał dobre rady.

– Cóż myślisz? – zagadnął Ragis z odrobiną niecierpliwości.

– Zobaczymy! – padła lakoniczna odpowiedź.

Stary ramionami ruszył. Nie było co gadać z takim człowiekiem.

Długą jeszcze chwilę szumiały tylko dęby święte i szeleściły pod stopami paprocie, aż kaleka znowu się odezwał:

– Już ja wiem, co będzie: to, co zawsze z tobą! Krzywda i krzywda. Macocha zrobi, co zechce. Zmarnuje się ojcowizna w rękach faworyta Witolda, zmarnuje się i on, i Hanka – i ty! Znam ja tego, co odchodzi, i tych, co zostają.

– I mnie? – spytał Marek z naciskiem.

– I ciebie! – potwierdził stanowczo stary. – Może nie?

– Nie wiem! – odparł, ramionami ruszając.

– Ot, to posłuchaj! Byłby z ciebie człowiek, żebyś miał własną ziemię, własną żonę i własnego brata. Kto tego nie ma, ten, bracie, opadnie jak liść jesienny, omszeje bezużyteczny jak dziki kamień! I z tobą tak będzie!

Musiał to wreszcie i posłyszeć Marek, bo raz pierwszy podniósł na towarzysza swe oczy, siwe jak stal, a spokojne jak tonie bezdennych wód.

– Dlaczego? – spytał.

– Bo ci nie własne Skomonty, gdzie przepracowałeś dziesięć najlepszych lat, ani żona dla ciebie – Marta Wojnata, i nie brat – Łukasz Gral.

– A wy co mieliście własnego, Rymku?

– Ja? – Stary się zamyślił. – Ja miałem w twoim wieku chorażew nad sobą, szeroki świat i wielką myśl. Rzuciłem wszystko i choć przyniosłem do domu to drewno tylko i blizny, nie zamieniłbym swej doli na twoją... na waszą teraz!

– To Kazio dobrze zrobił, że zbiegł?

– Nie dobrze, ale może najrozumniej!

– Zobaczymy! – powtórzył swoje Marek.

Wyszli z lasu na szeroką uprawną równinę. W dali czerniał dwór nad Dubissą, ku któremu poszły oczy obu, i w jednej myśli zapewne przyspieszyli kroku. Czekano tam ich niecierpliwie.

Nie mówili nic więcej. Brama odwieczna, z daszkiem i jakąś sentencją łacińską wrytą na szerniałej blasze, z wizerunkiem Bogarodzicy u szczytu, otwarła się pod dłonią Marka.

W domu świeciło jedno tylko okno narożne, szeroko otwarte. Gdy się zbliżyli, doleciał ich gruby głos recytujący przedśmiertną litanie, a kilka innych głosów, łkaniem przerywanych, odpowiadało chórem.

Odkryli głowy i weszli do wnętrza mrocznych sieni, kierując się blaskiem świecy i szmerem modlitwy.

Noc letnia, gwiazd i róż zapachu pełna, wdzierając się do owego pokoju w rogu domu i dziwiła żółtemu płomykowi śmiertelnej świecy woskowej, co tłała, skwiercząc, na stole około posłania... Więcej ona dymu i cieni ruchliwych niż światła rzucała na twarz tego, co tam leżał i konał.

Starzec to był suchy i zwiędły, zmieniony tą pierwszą i ostatnią chorobą, a jednak, pomimo cierpienia, spokojny i bardzo pogodny.

Leżał na wznak i słuchał modłów, od czasu do czasu poruszając ustami; oczy miał w półprzymknięte, jeszcze żywe i przytomne; nie spuszczał ich ze ściany, gdzie świecił ryngraf pradziadów, dwie szable i wśród święconych ziół i palm krzyżyk na zblakłej wstążeczce.

W rękach, złożonych na piersiach, trzymał kurczowo koniec łańcuszka, co mu opasywał szyję – medalik święty może.

A ksiądz wciąż się modlił. Derkacze ze dworu głużyły jego modlitwy i płacz je często przerywał, a chory niekiedy podnosił powieki i obchodził wzrokiem otaczających, jakby szukał kogoś na próżno!

Wówczas gasły mu źrenice i kurcz przerywał spokój twarzy, a dłonie jeszcze silniej tuliły do piersi końce łańcuszka.

– Baranku Boży... – zaintonował ksiądz.

Chory trzykroć uderzył się w piersi, obrócił z trudem na bok i spytał:

– Czy jeszcze nie ma Marka z powrotem?

– Jestem! – odparł posępny głos z kąta.

Obejrzeni się wszyscy, a spośród służby klęczącej podniósł się i do ojca przystąpił najstarszy z rodziny, a do rodzica najpodobniejszy, olbrzym jasnowłosy.

Stanął naprzeciw chorego i czekał jak sługa rozkazu. Twarz jego, sucha, ostra, jak brąz twarda i jak brąz opalona, odcinała się ponuro w chyboliwym świetle gromnicy. Oczy wyglądały głęboko spod czaszki i silnych brwi, wąskie usta zaciągała jeszcze silniej żałość owa straszna, co nigdy na wierzch nie wybucha.

Stary zmierzył go wzrokiem i spytał spokojnie:

– Opasy dobrze sprzedalesz?

– Po sto talarów sztuka.

Sięgnął do kieszeni, po pieniądze snadź, ale chory głową potrząsnął.

– Zostaw! To nie nasze. Do poświckiej kasy złożysz. To Orwidów grosz! Dobrze, żeś wrócił. Bałem się ciebie nie doczekać, ale Bóg łaskaw!

Umilkł, jakby myśli zbierał, i począł powoli:

– Nie pisali moi ojcowie nigdy testamentu – bo i po co? Uczciwy uszanuje ojcowskie słowo, a zły i pismo zburzy! Starym obyczajem i ja was chcę za życia podzielić ustną wolą. Ziemi kawał jest świętej i grosza trochę; a byście nie skarżyli się na mnie kiedy, żem kogo skrzywdził – sami powiedzcie, czego chcecie z ojcowizny? Ja rozsądzę! Mówcie, dzieci!

Zapanowało milczenie. Marek oczy spuścił, namyślał się po swojemu nad każdym słowem i czekał na tamtych – na troje, co się skupiło bliżej posłania: dwoje przyrodnych i macocha. On stał dalej i sam.

– Mówcie, dzieci, mnie pilno kończyć! – powtórzył chory.

Wówczas z klęczek przysunęła się do rąk jego szczupła postać dziewczynki może osiemnastoletniej, bardzo bladej i mizernej. Podniosła oczy swe czarne, cudne wyrazem myśli wielkiej i szlachetnej, i wyszeptwała:

– Papo, i ja mogę o co prosić?

– A jakże, Hanko, możesz. Mów śmiało!

– Papo, ja nie chcę ani ziemi, ani grosza – nic, nic, tylko słowa waszego, żeby mnie uczyć się nie bronili! Ja im wszystko oddam za swobodę i pracę, którą kocham. Wszystko!...

– Hanko!... – upominała matka z cicha.

Dziewczyna wzdrygnęła się i nabierając otuchy, mówiła coraz goręcej:

– Ja wiem, mamu, to nie wypada, nieestosowne, mama chce mnie zatrzymać w domu, a ja nie mogę! Papo! Na Boga się klnę, że nie nadużyję swobody, tylko mi ją dajcie, bo... bo...

Zabrakło jej tchu.

– Dokończ! – rzekł chory.

– Bo żyć nie potrafię bez nauki i woli – i nie dopuście, papo, żebym kradła to, jak głodny – chleb.

Sucha dłoń starca spoczęła na rozpalonej głowie, jakby ją uspokoić pragnął, ale nic nie odrzekł na prośbę, tylko dalej sięgając wzrokiem, spytał:

– Na ciebie kolej, Witoldzie, chodź bliżej!

Z mroku wysunął się chłopak dwudziestoletni, uderzająco ładny, smukły, odziany z wyszukaną elegancją i nieśmiało przystąpił bliżej.

– Ja, papo, sam nie wiem – wybąkał – może da Bóg, papo wyzdrowieje.

– Ty nie doktor, a mnie pociech nie trzeba. Czego chcesz na swój dział?

Chłopak spojrział na matkę, na księdza i zachęcony przyjaznym skinieniem, odparł już śmiejąc:

– Ja bym chciał gospodarować z mamą w Skomontach, jeśli papy łaska.

– Tak?... – zamruczał Czertwan. I podnosząc oczy, spytał: – A ty, Marku?

Olbrzym snadź się już namyślił, bo odparł natychmiast:

– Dajcie mi, ojczu, nieboszczki matki zagrodę w Sandwilach i Dewaję.

– Na swój chleb chcesz iść i żenić się pewnie także? – spytał ojciec posępnie.

– Już mi czas! – odrzekł krótko syn.

Stary sposepniał, skrzywił się, jakby go coś zabolalo, i chwilę czekał, czy się jeszcze kto nie ozwie.

– A ty? – zagadnął, do żony się zwracając.

Zaszlochała okropnie.

– Mnie nic nie trzeba, gdy ciebie nie stanie. Kąt w Skomontach do śmierci przy Witoldzie. Co wdowie miłe? Jeden grób!

Znowu pomilczał trochę i znowu westchnął.

– Zapomnieliście wszyscy – zaczął smutnie – że tu brak jednego, że troje dzieci miałaś.

Kobieta wstała z klęczek i przerwała mu gwałtownie:

– Zabroniłeś go wspominać. Przekląłeś!

– Nie! – zaprzeczył, a oko mu strzeliło iskrami. – Choć przeklęty każdy, co ziemię rodzoną rzuca, gdy mu ciężko! Pamiętajcie: przeklęty! Wstyd on mi zrobił i hańbę, ale to moje dziecko! Zachowałem mu tę ziemię i pamięć w sercu, choć smutną. Może on wróci, czekajcie! I darujcie, gdy do was przyjdzie, jak ja daruję.

Znowu zamilkł, myśli zbierał, zapatrzony w płomyk gromnicy.

– Daj tu plany, Marku – rzekł.

Syn wyszedł, wrócił po chwili i żądany przedmiot rozwinął przed nim, a chory trochę się podniósł, chudym palcem wiodąc po papierze, coś pokazywał i mówił:

– Skomonty po ojcach wziąłem i starym obyczajem najmłodszemu oddaję. Za rok, z dniem pełnoletności, Witold je obejmie, a tymczasem matka nimi zarządzi i przy nim do śmierci zostanie.

Chłopak obejrzał się znowu matkę i spytał z cicha:

– To Marek już tu nie będzie gospodarzyć?

– Kiedy mówię, że matka, to nie Marek! Słyszałem, że długi masz – to hańba i wstyd! Słyszałem, że nie uczysz się – to nikczemność, i że hulasz, trwoniąc czas i zdrowie – to podłość! Jeśli takim zostaniesz, odstąpi cię błogosławieństwo Boże i moje. Pamiętaj!

Witold oczy spuścił, poczerwieniał i milczał, a chory dalej wskazywał i mówił:

– A drugi folwark, Ejniki, to Kazia spuścizna, gdy wróci. I to ci, żono, oddaję w opiekę. Niech znajdzie kąt własny i czysty i tę ziemię, którą opuścił, pracującą dla niego! Pamiętaj, nie skrzywdź go i oddaj moje błogosławieństwo, chyba by wiary i mowy zapomniał... Wtedy nie... nie... nie błogosław!...

– Bóg go uchowa i święty jego patron! – wtrącił ksiądz.

I znowu Czertwan coś palcem oznaczył i do żony zwrócony rzekł:

– A to, Budrajcie, twoje wiano, Hanki posag. Nie taka ona, jak inne dziewczęta, ale przeto tę różnicę trza w niej uszanować, bo z dębu nie zrobisz obręczy i tylko połamiesz. Pilnuj jej, ale daj swobodę w tym, co godziwe, niech nie zbraknie chleba i wygod, a drogą, którą obierze, niech idzie. Nauki chce, a nauka nie grzech nikomu!

Z łkaniem rzuciła się dziewczynka do rąk ojcowskich. Krzyżek jej naznaczył nad czołem i mówił łagodnie:

– Pamiętaj, dziecko: wiarę uchwaj, pamiętaj. Nie bądź uczoną lepiej, ale rozumną! Rozumiesz? Bym nie pożałował w grobie, żem ci uczynił wolę!

Rękę położyła na piersi i powtarzała cała przejęta:

– Nie, nie, nie!

Marek wciąż plan trzymał i patrzył spokojnie, jak po kawałku znikala ojcowizna, i patrzył jeszcze, gdy nic nie zostało na jego dział, nic z tej ziemi, którą od dziesięciu lat w zastępstwie ojca uprawiał w pocie czoła!

Każdy dostał część: i utracjusz, i zbieg – dla niego nie było ani piędzi wśród tych łąnów i łąk, i lasów. I słusznie: on tylko prosił o wiano matki, szlachcianki z zaścianka, i lasu kawał w widłach potoku i Dubissy. Ojciec i jego prośby wysłuchał, jak tamtych.

– Złóż plany, Marku, rozdałem wszystko – rzekł wreszcie stary. – Prosiłeś o własny kawał ziemi i niezależność. Czas ci o rodzinie własnej pomyśleć. Prawda! Oni wszyscy odeszli z tym, co chcieli, i tobie się to samo należy! Może słuszniej jeszcze, boś zapracował!

Przymknął oczy i leżał chwilę zamyślony, bez ruchu. Nagle poruszył się gwałtownie i mówić począł gorąco, przeszywając syna wzrokiem:

– A któż mnie zastąpi? Kto? Nie miałem ja nigdy tej swobody i gościem byłem pod własnym dachem. Obce ręce uprawiały moją rolę, póki ty nie dorosłeś. Ja całe życie sługą byłem i eko-nomem, a teraz kto weźmie moją służbę?...

Zamilkł i Marek milczał, tylko brwi zmarszczył, usta zagryzł, buntowało mu się coś w duszy...

Stary patrzył nań: odgadł burzę, co wzbierała w skrytej duszy, i mówić począł wolniej, ciszej, jak o czymś świętym a tajemniczym:

– Minęło wiele lat od mojej młodości. Mówią jedni, że inny teraz świat, inni ludzie, inne życie. Nieprawda! Świat ten sam i ludzie, tylko się stępiłi jak, ot, te moje stare szablika od ciągłego rąbania a rąbania po kamieniu! Szczerbera nie wstyd, byle rdzy nie było, bo rdza zje najlepszą stal, a szczyrbę odtoczysz w potrzebie!

Za owych dawnych czasów wielkie burze chodziły po świecie i chmury ołowiane, a lata suszy były, więc lud czekał z tych chmur deszczu i rosy, ale Bóg inaczej chciał. Nie deszcz przyszedł, ale grady i pioruny na ludzi i mienia. I wszystko się skończyło!... Piotr Orwid bratem mi był; z jego łaski ja, chudopacholek, do szkół chodziłem, razem służyliśmy potem jeszcze większemu niż my wszyscy panu! Grom go trafił u mego boku daleko stąd. Wróciłem sam nad Dubissę naszą, zastałem zgłiszczę w Skomontach, a w Poświciu u niego dziecko sierotę! I jakem mu przysiągł w chwili zgonu, stanąłem za ojca sierocie, sługą wdowie, opiekunem ich dobra. Trzydzieści lat minęło. Rany się poblizniły, ból w głąb poszedł i porósł twardą skorupą. Wyhodowałem chłopca na człowieka, sam się ożeniłem, odbudowałem po cegle rumowiska! Pamiętacie, księżę dobrodzieju, owe czasy i Kazimierza Orwida? Takich już nie ma teraz! Ha, szczyrby, rdza! Wiadomo! Nad dziecko własne miłszym mi był, żenić się miał, no, i znowu te burze przyszły, Boże skaranie! I jak dawniej zgubę niosły dla wielu i dla niego! Cudowna patronko nasza! Tyle łez, tyle nędzy. Dwa razy przebyłem za żywota to samo! Poszedł i on, i nie wrócił! Raz go tylko ujrzałem na drodze: na piersi mi upadł i zapłakał, i na krew ojcowską zaklął, żebym o nim pamiętał. Narzeczona poszła za nim! Rzucili mi mienie i dobro, i ziemię, jak święty depozyt sierot, i oto lat tyle, jak nie było o nich wieści.

Głos mu cichł i opadał, szeptem dokończył z przejmującym żalem:

– ...I nie zobaczą już ich moje oczy, nie zwrócę im tego, com taką pracą zachował, już nie! Może czekają tam na mój raport?... Tyle lat!...

Urwał, wyczerpany ostatecznie, i zamknął oczy, a po twarzy snuły mu się żalobne cienie.

Marek głowę zwiesił i wszyscy zadumali się smutno, oprócz Witolda, który opodal na fotelu usiadł i ziewał.

Pani Czertwan pierwsza przysłała do słowa:

– Żeby żyli, daliby wiedzieć o sobie – rzekła, a widząc, że mąż się nie rusza, spojrzała nań przełękła.

Piersi chorego podnosił ciężki oddech, hucząc jak w próżni. Pochyliła się nad nim, poprawiła poduszki, do ust podała wina trochę. Wypił, ale oczu nie rozwarł; musiał go ból szarpać, bo chwilami krzywiły się usta i fałdowało czoło.

Człowieczek mały, beźmiernie otyły, w okularach na małym nosku, wychylił się z kąta i sapiąc, mrużąc oczy, wygłosił:

– Sądowna dawność minęła! Należy wezwać przez guberskie wiadomości sukcesorów, a jak się nie zgłoszą...

Czertwana jakby kto w twarz uderzył. Zadrzał, ostatnia krew nabiegła twarz i czoło, spojrzał strasznie na mówiącego...

– Dla sumienia nie ma dawności, panie Jazwigo! mnie prawniczych sposobów nie trzeba, ja mam tu prawo – uderzył się w pierś – i wedle niego całe życie postępowałem! Uchowałem spuściznę przez te ciężkich lat tyle nie dla obcych, ale dla niego lub dzieci!

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas




bukowy.las

www.bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



Żmudź, XIX wiek. Po śmierci ojca Marek Czertwan ma zająć się majątkiem Poświcie, pozostawionym przez przyjaciela ojca, Kazimierza Orwida. Młody ziemianin posłusznie przyjmuje to zadanie mimo całkiem odmiennej wizji swojej przyszłości. Gdy dowiaduje się o odnalezieniu w Ameryce Ireny Orwid, jedynej córki zmarłego tam Kazimierza, Marek postanawia przekazać jej niechciany majątek i ułożyć sobie własne życie.

Niedługo okazuje się, że najwyraźniej nie jest mu to pisane...



Nr 21000178

ISBN 978-83-8074-664-0



9 788380 746640



bukowylas.pl

Cena: 49,90 zł